

Gdzieś w drodze do Poznania, 22/11/2015

Krótką historia o tym jak Beskidy skopały mi tyłek

Miało być wczoraj, ale co napisać, gdy bolą Cię nawet włosy i paznokcie?! Chciałam już nigdy w niczym nie wystartować i rzucić bieganie. Dziś mi minęło;)

Przeżyj mój nieudany ultradebiut razem ze mną.

Jest 1:15 w nocy:

Dzwoni budzik, ale śpię dalej. Tak naprawdę myślałam, że ten budzik nigdy nie zadzwoni, a rano nigdy nie nastanie. Wstajemy o 1:45. Śniadanie mistrzów - kanapka z pasztetem i jazda.

4:00:

Start. Śnieg sypie tak mocno, że po 3 sekundach mam mokre stopy. Trudno. Pierwszy podbieg (podejście) pokazał, że cała trasa będzie bardzo trudna. Masz wrażenie, że góra nigdy się nie kończy, ale masz siły (bo jest początek) i wiesz, że po każdym podbiegu musi być zbieg. Jest! Już na pierwszych metrach ląduje na tyłku. Wstaję. Wszędzie pełno mokrych liści i śniegu. Chwila nieuwagi i leżę drugi raz na glebie. Super! Zbieg, podbieg. Podbieg, zbieg. Dlaczego na swój ultradebiut wybrałam takie piekło???



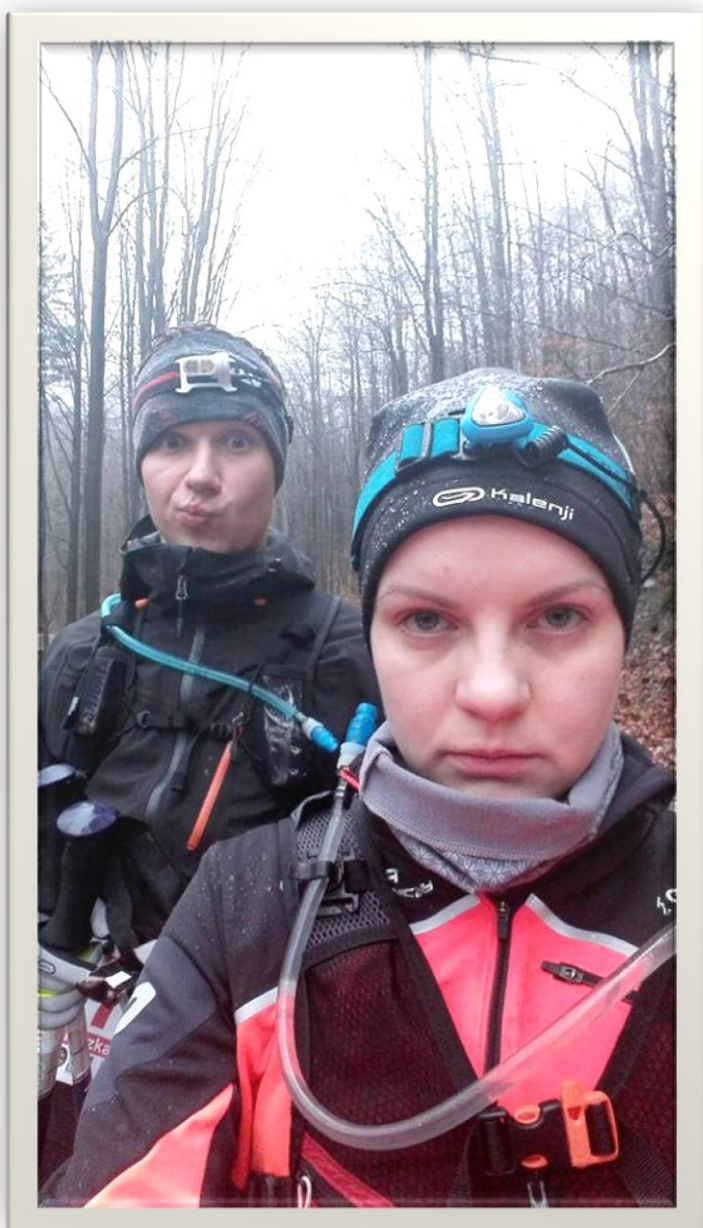
Na 8 kilometrze mój biegowy towarzysz Marek poinformował mnie, że to dopiero 8 kilometr. "Kur*a, dopiero?". Biegniemy dalej. Na 12 km punkt odżywczy. Ciepła herbata to zbawienie. Wolontariusze proponowali % % % - teraz wiem, że trzeba było strzelić sobie jakiegoś kielicha na rozgrzanie. Mniej bym cierpiała – psychicznie☺☺



Zadowolona ruszyłam z punktu. Nagle okazuje się, że przede mną podejście pod Małą Czantorię. W tym momencie zrobiło się jasno. Gdy zobaczyłam to, co na mnie czeka pierwszy raz stają mi łzy w oczach i pojawiają się myśli, że tego nie skończę. Ktoś, kto nazwał ten bieg Piekłem Beskidów miał rację. Cały czas sypał śnieg, a przez pierwsze godziny biegło się w zupełnej ciemności. Dziwne, że wywróciłam się tylko dwa razy.

Gdy dotarłam na górę okazało się, że straciliśmy bardzo dużo czasu, a czas to pieniądz, bo na pierwszą pętlę mieliśmy tylko 4,5 h. Już wtedy wiedziałam, że nie zrobię tego jeszcze dwa razy. Jeszcze jedna pętla będzie cudem. Chcieliśmy się zmieścić w limicie - trzeba było zacząć nakur...ć. Nie wiedzieliśmy, że przed nami jeszcze prawie pionowy podbieg. Już wtedy bolało mnie kolano. Przestało się prostować. W pewnym momencie minęliśmy z Markiem Krzysią, który skręcił kostkę i człapał do końca pierwszej pętli. Nagle koniec podbiegu. Pani na górze: "Spokojnie, macie dwa kilometry i pół godziny limitu". Daliśmy czadu. Zbiegalismy jak kozice. Na punkcie zameldowaliśmy się 15 minut przed końcem limitu - z jednej strony super, a z drugiej to wróżyło to początek końca. Bo jak zrobić kolejną pętlę w takim samym czasie z bolącą nogą? Chciałam zejść z trasy, ale 21 km nie był satysfakcjonujący dystans. Wiedziałam też, że to będzie walka. Zabawa już dawno się skończyła.

Zjadłam kilka żelków, wypiliśmy wodę i jaaaaaaazda na górę. Pierwsze podejście pokazało, że trzeba było zostać na dole. Skończyły się zawody, zaczęła się walka o każdy krok. Gdyby nie kijki to brodziłabym twarzą po błocie. Wtedy też zaczęłam płakać. Łzy jak grochy towarzyszyły mi z przerwami przez najbliższe 6 godzin. Na ok. 25 km rozstaliśmy się z Markiem. On miał więcej siły, była nadzieja, że zdąży na trzecie kółko. Zostałam z Dawidem i walczyliśmy. O każdy krok, o każdą górkę. Nie było nadziei na zmieszczenie się w limicie, ale pokonać 42 km w piekle to też było coś. Były momenty, że darłam się i momenty, że nie mogłam powstrzymać płaczu. Kilometry mijamy. Chcąc odciążać lewą nogę opierałam się mocno na kijkach i prawej nodze. Wtedy też prawa zaczęła boleć. No to pięknie.



Nawet jeżeli ktoś zapłaciłby nam (mnie i Dawidowi) milion złotych i spłaciłby mi kredyt nie zrobilibyśmy trzeciego kółka, a na pewno już nie zrobilibyśmy tego extra podbiegu na metę.

Wreszcie po milionie godzin dotarliśmy do punktu. Pierwszy raz w życiu musiałam zrezygnować. I tak nie zmieściłam się w limicie. Nie było mety, medalu. Wyścig się skończył. Nagle Pani wolontariuszka powiedziała, że jeżeli chcemy medal (zasłużyłam na niego po tych 42km męki – tak mi się przynajmniej wydaje) to mogę podbiec po niego na górę (tam, gdzie za żadne pieniądze świata moja noga miała nie stanąć). Decyzję podjęliśmy w pół sekundy: chciałam medal i chciałam czekać na górze na Mateusza – mojego biegowego trenera i motywatora, który sprawił, że wzięłam udział w tej szalonej przygodzie (<https://www.facebook.com/MateuszBezLitosci>). Żalowałam swojej decyzji o wejściu na Czantorię już po 50 metrach. To był najgorszy podbieg w czasie całych zawodów. Miałam ten medal głęboko w nosie. Widzisz przed sobą pionową górę i nie wiesz co masz zrobić. M.A.S.A.K.R.A!!!! Przymyślałam sobie wszystkie brzydkie słowa jakie znam i nie zawahałam się wypowiedzieć ich na głos. Nie byłam jedyna. Jeden zły ruch i leżysz z obita twarzą na glebie.



W końcu jakimś cudem (1400 m w godzinę) dotarłam na górę. A tam... mata do kontroli pomiaru czasu i koniec. Żadnej wielkiej mety, żadnego kibica. Dawid uciekł na ostatnią kolejkę, a ja zostałam sama. Nakrzyczałam na organizatora, że nie ma herbaty, okryłam się folią NRC, stałam nieruchomo przez ponad 1,5 h i czekałam na Mateusza, który, co nie jest zaskoczeniem, pokonywał jak gazela trzecią pętlę. Pojawił się po 16:20 śpiewając piosenkę. Wariat! Zawody skończył na 22 miejscu z czasem 12h 27 minut.

Z ponad 85 mężczyzn, którzy zapisali się na nasz dystans ultra na mecie pojawiło się 43. Z 11 kobiet 6. Cyfry pokazują, że było piekło.

Piwko, pączek i trzeba było zejść (na własnych nogach). Zajęło nam to 1 h 15minut z czego pierwsze 45 minut płakałam, że nie mogę się ruszać.

Po takim wysiłku organizm zwariował. Nie chciało mi się jeść, miałam mroczki przed oczami. Wejście pod prysznic było koszmarem, bo nie mogłam podnieść nogi. Już samo rozebranie się było wyzwaniem. Jedyne o czym marzyłam to łóżko i spanie. Ale jak spać skoro przywracanie się na bok powoduje ból??

Trudno opisać to, co przeżyłam. Tego trzeba doświadczyć. Jedno wiem: warto było doprowadzić się na skraj wytrzymałości i przekroczyć kolejną granicę.



Marek, dziękuję za wspólne kilometry i za to, że nie krzyczałeś, że jestem gruba.

Dawid, dziękuję za drugą pętlę. Cieszę się, że nie przywaliles mi, gdy zaczęłam zanosić się płaczem.

Mateusz, to wszystko, co się stało to Twoja zasługa i choć na trasie krzyczałam ostatkiem siły, że Cię nienawidzę i że Cie zamorduje na mecie to jestem szczęśliwa, że dałam się namówić. No i jestem bardzo dumna. Z naszej piątki tylko on przebiegł 63 km.

Ten bieg nauczył mnie pokory. Czy będę jeszcze biegała w górach? Oczywiście:))

Teraz wracamy do Poznania. To też niezłe wyzwanie - przebiełam pecherz i nie jest mi komfortowo:)

Do usłyszenia!

<https://www.facebook.com/projekttriathlon1>

Marta Pałucka